

O pożytkach z katastrof w murach akademii

An anatomical illustration in black lines on a red background. On the left, a human skeleton is shown from the side, with labels 'd', 'e', 'h', and 's' marking specific parts. On the right, a mechanical device, possibly a prosthetic or a model of a joint, is shown with labels 'z', 'k', 'l', 'l', 'm', 'm', and 'n'.

aleksy wójtowicz

Na koncepcję pożyteczności katastrof natrafiłem przypadkiem, jadąc pociągiem do domu na święta zimowe. Wtedy, w grudniu, jedynym zmartwieniem była nieustająca groźba stykania się z innymi współpodróżującymi a to udem, a to kolanem i niczym niedający się ukoić dyskomfort wdychania ciepłoty cudzych ciał w ośmioosobowym przedziale. Z dzisiejszej perspektywy, to zwyczajowe narzekanie na pekape, zwłaszcza kiedy nie zna się nieprzyjemności związanych z noszeniem maski ani reżimu pandemicznego, który ustawowo zamyka obywateli w ich domach, wydawać mogłoby się dość głupim. Ujmijmy to inaczej – to była, po prostu, przedpandemijna perspektywa, która nie zna ani maski, ani tęsknoty za duchotą publicznej komunikacji. Taka, która nie zna też wyjątkowego stanu wyjątkowego, który nigdy nie został ogłoszony z powodu skąpstwa partii rządzącej. To wszystko miało nas dopaść za kilka miesięcy, właśnie wtedy, gdy przyroda zwyczajowo budzi się do życia – w przedwiośniu. Widmo katastrofy wisiało, jednak nikt nie zaprzętał sobie nią głowy na poważnie. Wtedy na tzw. tapecie była katastrofa klimatyczna, której powagi raczej nie negowano. Miała nadejść, ale za kilka-, kilkanaście lat,

dopaść nas, kiedy będziemy już starzy i zgrzybiali. A najlepiej wtedy, gdy już będziemy martwi i sytuację obserwować będziemy z perspektywy dajmy na to, kosmosu lub robaków, w zależności od naszych oczekiwań co do życia pozagrobowego. Jednak katastrofy mają właśnie to do siebie, że ciężko się do nich przygotować.

Wtedy – to jest w grudniu, jadąc pociągiem przez pół Polski – wyciągnąłem *Pożyteczne katastrofy*, książkę Konrada Wojnowskiego z 2016 roku. W momencie pisania jej przez autora mówiło się o nadciągającym kryzysie, którego preludium były wydarzenia z 2007-2008 roku, gdzieś na marginesie uwagi pojawiał się temat katastrofy klimatycznej. Jednak wtedy żyliśmy czymś innym, a słowa katastrofa nie odmieniano przez wszystkie przypadki. Planowaliśmy wakacje tu i tam oraz ścieżki kariery poprzez Erasmusa i zbiory owoców za granicą dla podratowania domowego budżetu. Jednak właśnie w tym 2016 roku wyszła książka Wojnowskiego, na kartach której autor spleta teorię performatyki z teorią informacji, próbując znaleźć miejsce w porządku naszej kultury dla katastrofy, czyli wydarzeń, które

„[...] każdy porządek czynią przez chwilę niefunkcjonalnym i przez to absurdalnym. Ich dziwaczny urok bierze się z tego, że pozwalają nam doświadczyć czegoś nieprzewidzianego, a tym samym poszerzyć wiedzę o świecie. Katastrofy zaskakują człowieka i niosą mu nowe informacje o otoczeniu [...]. Po katastrofie trzeba natychmiast ustanowić nowy porządek, najlepiej w oparciu o świeżo zdobytą wiedzę (najczęściej niestety pomimo niej). Powrót do minionego świata i poprzedniej utopii staje się niemożliwy. Istnienie katastrof zadaje przeto kłam zarówno idei historii jako linearnego następstwa wydarzeń w czasie, jak i idei końca historii, czyli przekonania o nadejściu utopii społeczno-politycznej, która wyklucza pojawienie się innego, nieznanego jeszcze porządku”¹.

1 K. Wojnowski, *Pożyteczne katastrofy*, Universitas, Kraków 2016, s. 10-11.

Natomiast tytułowa „pożyteczność katastrofy”

„wynika, mówić krótko, z jej pobudzającego wpływu na dany organiczny system, który wskutek nieoczekiwanego zdarzenia uzyskuje nowe informacje, pożyteczne dla jego ewolucji. Aby wykorzystać potencjał katastrofy, dany układ musi być zdolny do przetrwania nagłego wstrząsu, a także niezbędnie potrzebuje odpowiednich narzędzi oraz – w najlepszym wypadku – świadomości, która pozwoli przekuć straty na korzyści”².

Książkę, choć niezwykle ciekawą, musiałem odłożyć sobie na później. Widmo życia codziennego położyło się cieniem na realność wystąpienia prawdziwej katastrofy. Wróciłem do niej w marcu, wtedy gdy można było uznać za pewne, że sam początek dwudziestego pierwszego wieku będziemy dzielić na czasy przed katastrofą i te, które nastaną po niej. Ciężko prowadzić dziennik, który dotyczyłby wszystkich możliwych do zaobserwowania procesów. Dziennik to jednak forma intymna, zbiór zapisków dotyczących wydarzeń możliwie najbliższych piszącemu – frustracji i zachwyków, które stają się częścią życia codziennego. Tak właśnie powstała niniejsza publikacja – jest zapisem tego, co może odczuć osoba studiująca, której semestr letni odbył się w reżimie pandemicznym i która próbuje przetrwać tę niecodzienną formę edukacji, obserwując jak potężna machina instytucji, jaką jest Akademia Sztuk Pięknych kurczy się do rozmiarów okienka telekonferencji i poczty mailowej.

Jeśli Wojnowski ma rację – i z tej katastrofy da się nie tylko wypunktować to, co nie działa, ale również to, co może działać (lub działać lepiej) nie tylko w reżimie pandemicznym, ale w dalszym życiu, także samej instytucji. Zwłaszcza, jeśli coraz częściej mówi się o tym, że semestr zimowy odbędzie się na podobnych zasadach, to jest – za pomocą kamerki i maila,

z zatartą granicą pomiędzy życiem uczelnianym a domowym, z poczuciem niedosytu i realnym przebodźcowieniem. Zwłaszcza w przededniu wybrania nowego Rektora stołecznego ASP.



ci
cholerni
kichacze
nakichali
katastrofę

* ale wcześniej ktoś zjadł zupę

Gdy próbuje się zilustrować „efekt motyla”, najczęściej mówi się o tym, że trzepot skrzydeł motyla jest w stanie wywołać tornado na drugim końcu świata. W 2020 roku legenda dotycząca pandemii wygląda mniej więcej tak: ktoś w Chinach zjadł zupę z nietoperza, przez co w Polsce przyciski w windzie naciska się łokciem, a globalna gospodarka pikuje na główkę. Mniejsza o to, że nie do końca chodzi o zupę z nietoperza, ale o poważniejsze kwestie związane ze sposobem, w jaki żyjemy w XXI wieku – jednak fakt naciskania łokciem przycisków w windzie czy globalny krach są realne. Skutkiem pandemii są nie tylko maseczki i kolejki po papier toaletowy, ale przede wszystkim konkretne ofiary na całym świecie – zarówno samego wirusa, jak następstw związanych z zamknięciem granic, masową likwidacją miejsc pracy i autorytarnymi ciętami rządów na całym świecie. Niektórzy – ci bardziej optymistyczni – piszą o tym, że świat „po” będzie przypominał lata 90. w transformującej się Europie Środkowo-Wschodniej. Inni, których podejrzewam o bardziej realistyczne prognozy, mówią o podobieństwie do kryzysowej końcówki lat 20. XX wieku. Jednak wbrew wszystkim, którzy w ramach prób pocieszenia siebie

i innych mówią „będzie dobrze”, zarzut jest dość prosty. Zapominają oni o tym, że może być dobrze tylko wtedy, gdy solidnie zastanowimy się nad powodami, dla których świat zglobalizowany wzdłuż i wszerz, który naiwnie braliśmy za stabilny i racjonalny rozpadł się w dwa-trzy miesiące lockdownu. Niewiele wskazuje na to, abyśmy wzięli się do pilnego zrewidowania tego, co uwypukliła katastrofa – przede wszystkim faktu, że nie był to świat ani stabilny, ani racjonalny. Strategia klejenia na ślinę i dopychania kolanem, która przejawiała się zarówno w sposobach funkcjonowania państw, jak i instytucji, stanęła w gruzach. Nawet powszechne przekonanie o dostępności łącza internetowego – podstawowego środka komunikacji w reżimie pandemicznym – okazało się fałszywe.

Pamiętacie może wizje edukacji przyszłości? Uczniowie z całego świata przed ekranami komputerów mają dostęp do wszelkiej możliwej wiedzy. Za pomocą jednego kliknięcia wertują terabajty książek, a posiadając niesamowite oprogramowanie dokonują cyfrowych cudów w każdej dziedzinie. Hologram nauczyciela tańca uczy fokstrota, a androidka pokazuje jak zmieniać biegi w cinquecento. W przerwach od tego oglądamy transmisję opery z Nowego Jorku, której akompaniuje synchronicznie orkiestra z Melbourne. Być może część z Was serio ćwiczyła jogę przez zooma i uczestniczyła w telekonferencji z ludźmi z całego świata – jednak wizja teraźniejszości jest wciąż bliższa obrazowi, w której dostęp do wiedzy jest determinowany przez posiadane przez Was zasoby. Są to nie tylko dostęp do szybkiego łącza i specjalistycznego oprogramowania, ale również rzecz tak banalna jak posiadanie własnego komputera. Legendarnego „wszystkiego” nie ma w Internecie, a jeśli coś jest to głównie dzięki nielegalnym (bądź półlegalnym) źródłom udostępnienia. Jeśli już jest legalne – to zazwyczaj jest to płatne. Tutaj znów rozbija się o pieniądze – jeśli je posiadasz, masz większą szansę na to, że przeżyjesz pandemię z lekka się nudząc i odmawiając sobie wymyślnego jedzenia na mieście, ale nie odbije się to wyraźnie na Twoim komforcie życia, edukacji i pracy. Masz także czas, bo nie musisz pracować, aby mieć co jeść i za co utrzymać mieszkanie. Z drugiej strony – nie wszystko w reżimie pandemicznym, co umożliwia

cyfryzacja jest ekwiwalentem czynności poza-cyfrowych. Nie da się odlać wymarzonej rzeźby, konsultacja przez kamerę w sprawie najnowszego obrazu jest umiarkowanie satysfakcjonująca. Wreszcie – niezależnie od tego, ile poświęcamy czasu na kontakt z innymi przez Internet – kontakt fizyczny z innymi jest podstawą naszej egzystencji. Nawet nudny wykład nielubianego wykładowcy jest czymś innym, gdy jesteś fizycznie w pracowni, od podobnego wykładu, gdy po pięciu minutach zsuwasz słuchawki i oddajesz się wertowaniu instagrama.

Najprościej mówiąc – w reżimie pandemicznym, w przypadku, gdy masz własny komputer i stałe łącze internetowe – ciężiej jest zmobilizować się do znanego wcześniej porządku pracy i zdobywania wiedzy. Doświadczamy tego wszyscy – zarówno będąc studentkami, jak i pracownikami ASP. Nagle okazuje się, że to, co zostało przewidziane w sylabusie jest planem nie do wyrobienia – a to, co da się zrobić jest ograniczone przez nasze możliwości lokalowe, brak dostępu do specjalistycznej literatury i źródeł oraz po prostu kiepską kondycję psychiczną, wynikłą z zaistniałej sytuacji zamknięcia w domach. W dodatku, ten ostatni czynnik jest podsycany przez niemożność rozgraniczenia czasu pracy od czasu wypoczynku – problem znany wszystkim, którzy mieli styczność z tzw. *freelancingiem*. Owo *wolnostrzelcowanie*, czyli głównie elastyczna forma zatrudnienia zdalnego, bywa codziennością absolwentek i absolwentów akademii sztuk pięknych, ogółem – dużego procenta osób związanych z sektorem kultury. Bywa też codziennością studentek, zmuszonych obecnymi (w tym także przedpandemijnymi) warunkami życia do podjęcia pracy jeszcze na studiach. To, co bywa czasem chwalone z pozycji neoliberalnych jako wczesne planowanie kariery, najczęściej jest po prostu podyktowane życiem – pokój w Warszawie do najtańszych nie należy, podobnie jak żywność – jeżeli zgadamy się ze spostrzeżeniem, że aby żyć, trzeba jeść. Aby jeść i móc utrzymać się w Warszawie, trzeba pracować już na studiach. W przypadku osób wolnostrzelających w okresie pandemii obok „robienia roboty w domu” trzeba było jeszcze „robić w domu” zadania domowe – nierzadko przy tym samym biurku pisane były eseje zaliczeniowe oraz lepiące

były modele rzeźb, a dwa metry dalej stała sztaluga z obrazem. Szczęśliwie i szczęśliwi, które i którzy miały już własne pracownie – wtedy nie spały w oparach schnącego oleju. Jednak czas pracy (szkolnej i zawodowej) bezlitośnie zlewał się w jedno. Można było odkryć zalety tzw. systemu pomidorro – czyli timera, który odmierzał równe odstępy czasu i informował nas o pięcio- i piętnastominutowych przerwach. Znam takich, którzy umieją z tego korzystać, znam też takich, którzy po trzeciej sesji pomidorro odinstalowują tę aplikację z odrazą. To, co się udaje w akademijnej pracowni, czyli wtłoczenie się w tryb pracy, ponieważ okoliczności temu sprzyjają, niekoniecznie sprawdza się we własnym pokoju. Nawet nam – studentkom i studentom kierunku teoretycznego nie było aż tak łatwo, jak mogło by się wydawać – ile jesteśmy znieść wideokonferencji dziennie? Przy trzeciej godzinie większość z nas ma już dość, bo okazuje się, że intensywność kontaktu przez kamerkę i słuchawki wcale nie jest mniejsza od tej, do której zdołaliśmy się przyzwyczaić. Problemem staje się też koncentracja, znacznie nadszarpnięta przez pandemijne warunki życia. W znacznie gorszej sytuacji znaleźli się ci, którym utrzymanie w Warszawie zapewniała praca dorywcza – najczęściej w gastronomii lub na stanowiskach edukatorskich w instytucjach kultury. Z dnia na dzień stracili oni swoje miejsca pracy, a będąc zatrudnionymi najczęściej na tzw. śmieciówkach mieli ograniczone możliwości manewru – za przymusowy „urlop” nikt im nie płacił, nie mieli też szansy na tzw. „postojowe”. Pod znakiem zapytania stanęła ich dalsza edukacja i życie w Warszawie – najdroższym do życia polskim mieście. Pod jeszcze większym znakiem zapytania stanęła ich przyszłość – także ta najbliższa, związana z zaliczeniem sesji i zdaniem egzaminu dyplomowego. Część miejsc pracy, które gwarantowały im jakiekolwiek utrzymanie została zlikwidowana, czyli jak piszą liberalne media – zredukowana. Część ich pracodawców po prostu zbankrutowała w przestoju.

Na horyzoncie pojawiła się sesja – najpierw jako odległa perspektywa, później jako realny plan na najbliższe tygodnie. W jaki sposób wywiązać się z zadań, kiedy mamy w głowie znacznie bliższe życiu codziennemu

problemy? W jaki sposób wykonać zdania, których realizacja była właściwie niemożliwa do przeprowadzenia w zamknięciu – bez pracowni, bez dostępu do specjalistycznego sprzętu, bez bibliotek? Część wykładowczyń i wykładowców doskonale pojęła powagę sytuacji – zadania zostały dostosowane do warunków, wymogi nieco złagodzone, indywidualne przypadki potraktowane zostały życzliwie i ze zrozumieniem. Jednak inna część postanowiła grać w grę „jak gdyby” – jak gdyby pandemii i *lock-downu* nie było.

Jak pokazała sytuacja w czerwcu, gra w normalność nie była tylko strategią kilku upartych pedagogów – to strategia szersza, w którą grają nie tylko instytucje, ale przede wszystkim rząd. Po zniesieniu przymusu siedzenia w domu i represjonowania spacerów, wraz z dowolnością w sprawie noszenia masek i otwarciu wszystkich tych sklepów, które nie upadły, nagle okazało się, że „wracamy do normalności”. Niestety, wróciliśmy do życia w zupełnie innej sytuacji – choć tłumy w knajpach i na bulwarach wiślanych zdają się temu przeczyć. Kilka tysięcy ludzi zmarło, kilkadziesiąt tysięcy jest zarażonych wirusem, kilkaset tysięcy straciło pracę. Stanu wyjątkowego nie zniesiono, bowiem nigdy nie został wprowadzony. Nad tym wszystkim unosi się atmosfera nie tylko przymusu powrócenia do normalności, ale – co gorsza – oczekiwania, że powrócimy do życia ze zdwojoną energią i będziemy w stanie wydać trzykrotnie więcej pieniędzy, aby „nadgonić” straty. Tak, jak gdyby od marca do czerwca nic się nie stało. Również oczekiwania do instytucji kulturalnych są podobnie przesiąknięte aurą hiperefektywności – publiczność pyta „gdzie są wielkie wystawy, na które tak czekamy”? Przedpandemijna gorączka efektywności i opłacalności nie straciła na wigorze, traktując lockdown jako wakacje. Nie były to wakacje, o czym dobrze wiemy. Nie znam takich, którzy wypoczęli na przymusowym, najczęściej bezpłatnym urlopie z wizją bezrobocia i kurczących się do zera szans. A przecież i tak nie mamy najgorzej – nie spędziliśmy tych trzech miesięcy na pracy ponad siły, śmiesznie nisko opłacanej, z narażeniem zdrowia i życia. Większość z nas nie

dostała mailem wymówienia od szefa, jeszcze nie musimy stać w kolejce do legendarnego pośredniaka. Jeszcze. Przed nami, na razie, sesja, egzaminy dyplomowe przesunięte na jesień. Być może właśnie teraz praca, którą mieliśmy robić (gdyby nic się nie stało) przez te trzy miesiące zaczęła być pracą na tu i teraz, obok nieszczęsnej sesji.

akademia w czasach katastrofy



a studentki

Jeden z kandydatów na Rektora warszawskiej ASP niedawno powiedział „funkcjonujemy na tej uczelni na zasadzie plotki”, opowiadając się za zmianą w tej kwestii. Miał on na myśli fakt, że większość informacji, nawet tych fundamentalnych, jest podawana nieoficjalnymi kanałami, maksymalnie nietransparentnie. Główną wadą plotki jest to, że szybko obrasta – niczym śniegowa kula – w coraz to większą plotkę lub po prostu zbiór domysłów, intencjonalnych lub nieświadomych przeinaczeń, których konsekwencje są różnorakie – najczęściej jednak negatywne. Pewien łysy filozof miał okazję powiedzieć, że wiedza to władza. Zatem, instytucja, jaką jest uczelnia, która bardzo zdawkowo dystrybuuje wiedzę o stanie rzeczy, postanowieniach i planach, skazuje tych, którzy są poza strukturami władzy na domysły, niepewność i brak możliwości zaplanowania czegokolwiek, co wiąże się z możliwością władzy – nawet tak trywialnej jak panowanie nad własnym czasem. Tymi niepoinformowanymi są nie tylko studentki i studenci, są nimi także wykładowcy i wykładowczynie, a także liczne grono innych pracowników i pracownic tej uczelni. Te domysły stan pandemii tylko potwierdził – przepływ informacji na

warszawskiej ASP jest ograniczony. Ciężko widzieć w tym zwyczajową winę biurokracji. Stan niedoinformowania jest – tak aby użyć poważnego słowa – strukturalny. Podlegaliśmy mu nie tylko jako społeczność studencka, ale także część czegoś większego, czym jest społeczność akademii. Same uczelnie, podobnie jak inne państwowe i prywatne podmioty, były zdane na brak informacji z tzw. góry. Mówiąc najprościej, nikt nic nie wiedział, z czym wiązała się ogromna frustracja, odczuwalna na różnych szczeblach i w różnych relacjach.

Dobrze pamiętam moment, w którym stan pandemii się oficjalnie zaczął – akurat siedzieliśmy na zajęciach, których dalszy przebieg był ściśle uzależniony od tego, czy zamkną uczelnię. W atmosferze nerwowych żartów i jakby nie było, podniecenia nowym, oczekiwaliśmy na jakąkolwiek informację z góry – od dziekanatu, od rektoratu. Czekaając na to słuchaliśmy wypowiedzianych półgębkiem plotek od wykładowców, od administracji – czarnowidzenie łączyło się płynnie z beztroskim optymizmem. Na razie pracowaliśmy w trybie „jak gdyby nic”, mając ciągle na uwadze to nowe, co i tak miało przyjść. Właściwie każda opcja była możliwa. Gra w „jak gdyby” długo nie potrwiała, ogłoszono zamknięcie uczelni. Najpierw na kilka tygodni, potem – może do świąt wiosennych, może do maja, może do wakacji? Pojawiły się pierwsze pytania, co do tego jak dalej funkcjonować – tego, co da się przenieść do komunikacji mailowej, z czego należy zrezygnować, jak w ogóle urządzić tryb pracy. Byliśmy tylko studentami, zatem wszystkie komunikaty, jakie mogły się pojawić, nie pochodziły od nas – byliśmy domyślnymi, biernymi adresatami. Dobrze, jeśli z każdym kolejnym mailem dotyczącym niepewnych ustaleń dalszej pracy, pojawiały się konkrety. A konkrety były uzależnione od wyższej instancji, niż nasi nadawcy – czyli wykładowcy i dziekanat. Właściwie głównym centrum informacji stał się facebook – informacje (czasem sprzeczne) płynęły właśnie tymi nieoficjalnymi źródłami. Czat Samorządu Studenckiego przeżywał w pandemii swoje złote czasy – szybko bowiem okazało się, że małowówność „góry” zaczęła frustrować wszystkich, zwłaszcza dyplomantów pozostawionych samych sobie. Niech o ich samotności świadczy

fakt, że nie mogąc dowiedzieć się niczego w ich sprawie, sami założyli grupę, w której dowiadawali się szcątkowych informacji, próbując wyrzucić zbiorową presję wobec tych, którzy informacji skapili. Ci natomiast nie do końca chcieli się przyznać, że sami nic nie wiedzą, liczą na informację od „wyższej” góry. Wiedza to władza, w końcu – przyznać się, że się nie wie, to narazić na szwank swoją pozycję.

Samorząd dość szybko skonstruował pierwszy list, w którym zebrano najpilniejsze pytania dotyczące dalszego funkcjonowania uczelni. Odpowiedź władz uczelni skupiła się głównie na wyrzucie, że tak postawione pytania naruszają atmosferę solidarności środowiska. Konkretnych odpowiedzi nie było – co dało się zrozumieć, jeśli przyjąć empatyczną postawę i założyć, że sami nie wiedzą, bo Ministerstwo nie kieruje do nich klarownych komunikatów. Taka sugestia jawiła się między wierszami, wraz z subtelną, choć niewypowiedzianą wprost frustracją władz uczelni na brak informacji. Wszak uczelnie nie funkcjonują w niebycie, ale w dość zhierarchizowanej strukturze. Spytałismy studentek z innych akademii, jak to u nich wygląda – w niektórych przypadkach wyglądało to inaczej, zaczęto szybciej podejmować decyzje, organizować plany awaryjne co do dyplomów i rekrutacji. Zabawnym przykładem jest forum uczelni z północy Polski, w ramach którego studentki napisały post z pytaniami o tym, co dalej – szczęśliwie jednym z użytkowników forum był sam rektor tej akademii. Odpisał dość szybko i konkretnie. Ale znów – nie była to oficjalna forma komunikacji, nadawcą były studentki. To one zadawały pytania, jednak sugestia niesolidarności nigdy nie padła. Nie sugeruję jednak, aby uczelniane fora (jednak nieoficjalne) musiały mieć wśród swoich użytkowników władze uczelni – jednak pokazuje to ogólną tendencję do bazowania na informacjach, które nie wychodzą rozpoznanymi ścieżkami komunikacji pomiędzy studentkami, pracownikami a władzami.

Drugi list samorządu, jeszcze bardziej konkretny, ale i silniej podkreślający wyrazy solidarności ze wszystkimi pracownikami uczelni (nie tylko z władzami – adresatami) nie spotkał się już z żadną reakcją. Mimowolnym pokłosiem były jednak rozporządzenia, które w znacznym stopniu

umożliwiły dalsze planowanie pracy. Wydziały, które działały do tej pory w dużej mierze na własną rękę, próbując opanować chaos – odetchnęły. Jednak nie wykładowcy, którzy do tej pory nie odezwali się do studentek z planem pracy – wtedy nagle pojawiły się maile, sugerujące różne rozwiązania. W tym także niestety próby „nadgonienia” czasu, w którym kontaktu nie było – część z nich dało się jednak w miarę możliwości spacyfikować. Szkodliwej koncepcji wyrabiania 300% normy nie można zaszczepiać na uczelniach, ponieważ nie są one – pomimo systemowych sugestii – fabrykami wiedzy.

Pojawiły się także pytania o osoby studenckie, które od początku pandemii nie były obecne na zajęciach w trybie online – mamy nadzieję, że wobec nich zostaną przedsięwzięte kroki uwzględniające indywidualne, nierzadko bardzo trudne sytuacje. Sytuacje, które wynikają ze m.in. z nieuprzywilejowania ekonomicznego, braku warunków do przejścia w tryb online bez strat w tempie i jakości pracy, obowiązków pozastudenckich czy innych, nierzadko tragicznych wypadków losowych. Ciężko jest bowiem kontynuować grę w „jak gdyby normalnie”, podczas gdy wszyscy doświadczyliśmy anormalnego stanu pandemii i jego konsekwencji, które ujawniają się nie tylko teraz, ale z którymi będziemy się mierzyć przez najbliższe lata. Nie może być tak, że są na uczelni dziekanaty, które nie rozprawdzają informacji od Samorządu, jak i rozporządzeń rektorskich, nie może dziać się tak, że studentki pozostają bez kontaktu z wykładowcą przez kwartał, wreszcie – nie może być sytuacji, w której dyplomanci muszą się samoorganizować, aby wiedzieć, jak zaplanować swoją pracę nad dyplomem wieńczącym ich kilkuletnią edukację.

Widzimy, co działa – przede wszystkim samoorganizacja. Tym osobom, które korzystając z własnej wiedzy, zasobów i doświadczeń zapewniały społeczności możliwość wypełniania obowiązków, należą się wielkie podziękowania – uratowali oni niejedną pracę zaliczeniową, egzamin czy zajęcia. Wiedza na temat tego, jak coś znaleźć lub kogo o to poprosić jest bezużyteczna, jeśli się nią nie dzielimy z innymi. Gigabajty skanów czy kilometry linków służą, jakby nie było, do redystrybucji – nie tylko

w sytuacji odcięcia od większości źródeł informacji. Wreszcie – wiedza skondensowana na przestrzeni lat w formie notatek ma sens przede wszystkim w pracy grupowej – zarówno w momencie jej wytwarzania (spisywania), jak i dalszego korzystania i ewentualnego nadpisywania, uzupełniania o rzeczy nowe, bądź dotąd niedostrzeżone.

Działa samopomoc – także w dzieleniu się kompetencjami czy zasobami. Pal lichy, czy legalnie – nie może być tak, że osoby mniej zamożne są wykluczone z możliwości realizowania zadań, z których są rozliczane jakby miały dostęp do nieograniczonych środków. Działa grupowa presja – czy to w postaci związków zawodowych, samorządów wydziałowych czy uczelnianych lub po prostu – grup wspólnego interesu. Postulaty zbiorowe ciężiej jest ignorować.

Działa też zwykłe wsparcie – zarówno w postaci zainteresowania się sytuacją dawno niewidzianej na zajęciach czy czacie studentki, zgłoszenia problemów technicznych czy sprzętowych osób, które nie mogą dołączyć do wideokonferencji, jak i gesty wsparcia w postaci całonocnej rozmowy, oferty wspólnego uczenia się do egzaminu czy drobnych korekt pomiędzy studentkami. Wiemy, jak specyficzną dziedziną jest sztuka, jednak nie pozwalając do niej przeniknąć reżimowi hiperopłacalności i morderczej efektywności, nie dajmy w niej zaszczyć atmosfery konkurencji za wszelką cenę, w imię której nie podzielimy się notatkami z resztą grupy. Oferujemy w ramach swoich możliwości pomoc, jednak – to truizm, który należy powtarzać – sami nie bójmy się o nią prosić i z niej korzystać. No i oczywiście, zadawajmy pytania w przerwach od kompulsywnego mycia rąk.

Jeden z kandydatów na Rektora ASP (ale inny od postulatu transparentności informacji) powiedział, że przede wszystkim zależy mu na zaufaniu w ramach akademii – pomiędzy wszystkimi członkiniami i członkami tej społeczności. Mam wrażenie, że bardzo wielu z nas zależy na zaufaniu – bowiem to ono buduje sprawnie działające struktury, zarówno formalne, jak i nieoficjalne. Jednak zaufanie można budować wyłącznie poprzez

jawność intencji, celów, wzajemne zrozumienie i empatię, a także na kanwie powszechnego dzielenia się wiedzą. Nie: jej wydzielaniu. Nie da się funkcjonować sprawnie na plotce – musimy wspólnie wypracować tę postulowaną transparentność, ponieważ dopiero na niej można budować ogólne zaufanie, także do struktury, której się jest częścią. A tę musimy budować poprzez współdziałanie, odpowiedzialność za innych (a także siebie) i samopomoc – zwłaszcza w obliczu konsekwencji popandemijnych. Mam wielką nadzieję, że tak właśnie się stanie – nie tyle, powtarzając, że „będzie dobrze”, ale zdając sobie sprawę z całą powagą, że będzie trudniej i inaczej. Tytułowym pożytkiem z pandemii w murach akademii można z powodzeniem nazwać zauważenie w ostrzejszym świetle pewnych problemów – między innymi specyficznej sytuacji zatrudnieniowej studentek i studentów, dużym rozwarstwieniu ekonomicznym, systemowych problemów z komunikacją, dostępnością i przepływem informacji. A to, co dotychczas wybrzmiewało półgębkiem – właśnie to, co jest obecnie silnie zauważalne i uporczywe, samo się nie rozwiąże.



Pracownia Struktur Mentalnych
Akademia Sztuk Pięknych
Warszawa 2020